

egzemplarz bezpłatny

ISSN 1732-6494 nr 34, maj 2009



mixer

magazyn studentów

Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego



**Lider grupy Strachy na Lachy
„Grabaż”: – Myśmy już swoje
zbuntowali...**
czytaj str. 7

W numerze

miXer

magazyn studentów

Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Nr 34, maj 2009

3 Apéritif

StuDnia

Studencki Drogowskaz Intelktualny

4 Śmierć profesora

KUMulus

Kulturalny Uzupełniacz Młodzieży

- 5 List do redakcji
- 5 Splendor dla grupy „Chemical Garage”
- 6 „Odmóżdżacz”
- 6 „Jezu, jak się cieszę...”
- 7 – *Myśmy już swoje zbuntowali...*
- 12 Robi świetne nalewki
- 12 O tajemnicach piramid i złocie Tut Ankh Amona
- 14 - *Obracamy się w stylistyce jazzu, latino i fusion*
- 15 „Tatarak”, czyli dużo Iwaszkiewicza, trochę Jandy
- 16 Teatr KTO – maj 2009
- 16 Nieobyczajnie...



PoWaGa

Politycznie Ważne Gadanie

- 17 VIVAT AKADEMIA!
- 18 - Chcemy pokazać ludziom, że jesteśmy dla nich...
- 21 - Takim mnie, Panie Boże, stworzyłeś, takim mnie masz...
- 23 „Spokojnie, już jadę – spóźniony”...

redaktor naczelny

Bartosz Walat

dtp i layout

Mateusz Janusz (hussars.pl)

redakcja

Iga Balos
Grzegorz Makuch
Joanna Oparcik
Magdalena Zakrzewska
Anna Zielińska
Maciej Pietrzyk
Mirka Kędzierska
Dorota Zdechlikiewicz
Norbert Tomasik
Karolina Dziadczyk

adres do korespondencji

mixer_ksw@interia.eu

druk

Drukarnia Leyko
tel. 012 656 44 87
2000 egzemplarzy

nakład

opieka redaktorska

Maciej Malinowski
(Wydział Politologii
i Komunikacji Społecznej)

zdjęcia

Mirosław Żak
Grzegorz Ladra

zdjęcie z okładki

http://www.polityka.pl/_gALLERY/80/33/80330/Grabaz.jpg

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania tekstów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.



*Powłada się, że rzeczy zmieniają się z czasem.
Prawda jest taka, że to my musimy je zmienić.*

Andy Warhol

Bartosz Walat redaktor naczelny

Apéritif

Czas jest zawsze aktualny - mówił Sławomir Mrożek. Co innego dzieje się z naszym magazynem, który wyslizgany jak tafla wyjeżdżona przez gwiazdy, musi nieraz poczekać przemoknięty na opustoszoonym przystanku.

No ale tak czy siak mamy numer majowy, choć nie gwarantuję Wam, że jest akurat maj. Może jest czerwiec, może lipiec, a może nadal trwa luty. Najlepiej zadzwońcie na numer z paczki zapalek i dowiedźcie się sami, na jakich obrotach działa ta nasza przestarzała galaktyka.

Pomijając wszystko, ukryć się nie da, że kolejny numer naszej uczelnianej dumy serwuje Wam drugą część wywiadu z Ludwikiem Dornem, przeczołga niejednego przez polemiki z *Grabieżem*, no i mam nadzieję - zapozna niedoinformowanych z ciekawymi spostrzeżeniami na sprawy nieciekawe.

W tym miejscu chciałbym przybić piątkę elektronicznym mediom, które wypierają gazety. Zaznaczam jednak, że obecnie zaczynam pogrywać na dwa fronty i zdradzać będę okrutnie, jeżeli okaże się, że to całe pozorne boom to i tak tylko patyk plus woda. I tyle.

Aha, pamiętajcie, palenie papierosów powoduje raka i choroby serca.

Śmierć profesora

**Dr Jan Krzysztof
Wiszniewski (1955-2009)**

Były pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych, Katedry Historii Polskiej Myśli Politycznej pod kierownictwem prof. dr. hab. Jacka Majchrowskiego.

Wykładowca Krakowskiej Akademii im. A. Frycza Modrzewskiego Wydziału Politologii i Komunikacji Społecznej. Promotor wielu prac licencjackich i magisterskich.

Pogrzeb odbył się 20 kwietnia br. na nowej części cmentarza na Salwatorze. Zmarłego żegnali przedstawiciele obu uczelni. Doktor był bardzo dobrym pedagogiem, co podkreślił prof. Jacek Majchrowski.

Msza w intencji zmarłego odbędzie się 27 czerwca br. o godz. 8 w kościele św. Katarzyny przy ul. Skalecznej. ■



List do redakcji

Droga Redakcjo „Mixera”. Przede wszystkim pisze do Was by serdecznie pogratulować magazynu! Szczerze mówiąc od kilku miesięcy na nowo czytam Wasz magazyn i aż nie mogę uwierzyć, że ona nadal istnieje i w dodatku jest taki wspaniały.

Nazywam się Magda Marzec, pewnie moje nazwisko nic wam nie mówi, ale zaczynałam studia na ksw jako pierwszy rok politologii i komunikacji społecznej. Swego czasu byłam starostą roku, później redaktorem naczelnym „Mixera”, który powstał z naszej inicjatywy.

Pamiętam jak pierwszy numer składaliśmy na domowym komputerze mojego przyjaciela z liceum, który *de facto* nie był studentem KSW – narobiliśmy tyle błędów, że cudem udało się dalej pracować. Później mogło być już tylko lepiej. Przyszli nowi studenci z Michałem Krausem na czele i „Mixer” zaczął nabierać kształtów. Mam ogromny sentyment do „naszego” magazynu, szczególnie teraz, gdy widzę, jak profesjonalnie jest wydawany i jak prowadzony – szczerze gratuluje całemu zespołowi.

Obecnie reaktywowałam się na studia zaoczne – kiedyś w końcu trzeba skończyć edukację – stąd „Mixer” po raz kolejny stał się najlepszym lekarstwem na nudnawe zajęcia. Czekam na kolejne numery i życzę wszystkim wytrwałości i zapału.

Pozdrawiam

Magdalena Marzec-Carriel



Segregujcie śmieci!

„PKS” to „Przegląd Kapel Studenckich”.

Właśnie odbył się po raz szósty

Splendor dla grupy „Chemical Garage”

„PKS” mógłby być skrótem od „Przedsiębiorstwo Komunikacji Samochodowej” albo „Profesjonalna Krakowska Scena” bądź sloganem reklamowym „Pokaż Klasę, Studencie”... W rzeczywistości jednak „PKS” to „Przegląd Kapel Studenckich”. Właśnie odbył się po raz szósty.

Co roku stara się on wspomóc polską scenę kapel, które dopiero rozpoczynają drogę muzyczną lub nie trafiły jeszcze w szeroki obieg. Głównym celem organizatorów jest zmotywowanie młodego środowiska, które przy pomocy warsztatów i ocen umiejętności zapraśnie doskonalić talent i na szeroką skalę manifestować swój studencki punkt widzenia.

W tym roku do wydarzenia dopuszczono następujące zespoły: *Sprytny Lisek*, *The Lollipops*, *The Mal-kontents*, *Czerwieńska Strona Jabłka*, *Pan Trup*, *Chemical Garage*, *Electric Landlady*, *Humanick*, *Portal Blues*, *The Second Fond Villains* oraz *The Red Sky* i *De trebles*.

„Przegląd Kapel Studenckich” to także występy grup, które zostały już zauważone na polskim rynku muzycznym. W tym roku zagrali: krakowska grupa *KID A*, zeszłoroczny zwycięzca przeglądu – grupa *VIA REI* oraz *Skangur*, energetyzująca grupa, która tym razem zaprezentowała materiał z najnowszej płyty „Endorphine”.

W rezultacie przesłuchań (przeprowadziło je jury: Joanna Trafas, Tomasz Buszewski, Leszek Gnoiński, Tomek Radziszewski i Andrzej Paweł Wojciechowski) wyłoniono zespoły najlepsze w poszczególnych kategoriach. Pierwsze miejsce przypadło grupie *Chemical Garage*, która w ramach nagrody otrzymała wyjazd na wymianę studencką do jednego z krajów UE oraz możliwość zagrania koncertu podczas tegorocznych juwenaliów krakowskich. Drugie miejsce i nagroda – koncert podczas Rajdu Politechniki Krakowskiej – przypadło grupie *Pan Trup*, a trzecie zespołowi *Humanick*.

Wręczona została jeszcze nagroda od MJM Music. Laureat, grupa *Portal Blues*, nagra singla i podpisze kontrakt z wytwórnią. Uhonorowany został także *Sprytny Lisek*.

Marta Wawrzyniak

Saga o przygodach Jakuba Wędrowycza, czyli jakżeż sympatyczny...

„ODMÓŹDŹACZ”

Każdy student wie dobrze, że gdy ogarnia nas całkowite wyczerpanie i znużenie posesyjne, nie ma sensu z tym walczyć. Można jedynie próbować je w ten czy inny sposób rozładować. A sposobów jest wiele.

Jedni rzucają się wir imprez i alkoholu, inni próbują odespać zmęczenie. Jednak dla mnie najlepszym sposobem na walkę z apatią pozostaje zaszczyt się w mieszkaniu z naprawdę dobrą książką. Lektura taka, by się stać „odmóżdżaczem”, powinna spełnić dwa warunki: mieć fabułę i bohaterów wykreowanych w taki sposób, żeby czytelnik zapomniał o bożym świecie (czyt. sesji i uczelni), oraz absolutnie należeć do gatunku fantasy. Ja już swojego „odmóżdżacza” znalazłam, to saga o przygodach Jakuba Wędrowycza.

Autorem serii jest bardzo barwna postać, Andrzej Pilipiuk, z wykształcenia archeolog i historyk, z zamiłowania literat. Stworzył postać nietuzinkową, ponieważ lokalny egzorcysta amator, bimbrownik i – jak mówią o nim wojśławickie organy ścigania – wrzód na ciele społeczeństwa, nie jest często spotykanym bohaterem książek. A jednak seria pięciu tomów

o przygodach Jakuba pozostaje lekturą niesamowitą sama w sobie. Saga zawiera kolejno tomy: „Kroniki Jakuba Wędrowycza”; „Czarownik Iwanow”; „Weźmiesz czarno kure”; „Zagadka Kuby Rozpruwacza” oraz „Wieszać każdy może”.

Autor w swych powieściach przenosi nas do świata niezwykłego. Z jednej strony mamy do czynienia z bohaterem jako jednostką zdemoralizowaną, żyjącą w głębokiej wiejskiej ciemnocie, a z drugiej – z człowiekiem, który dzięki nadprzyrodzonym zdolnościom jest w stanie „podgrzać” swą inteligencję do 220 punktów IQ.

Wędrowycz od zawsze mieszka we wsi Wojśławice. Ma rozwalający się dom z bimbrownią pod podłogą oraz nieliczne zabudowania gospodarcze. Jego najlepszym przyjacielem pozostaje carski gwardzista Semen Korczaszko, stukilkuletni starzec, potomek cywilizacji Edonitów, których statek kosmiczny, zakopany pod stodołą Semena, rozbił się na Ziemi kilka pokoleń wcześniej. Ulubioną rozrywką przyjaciół jest degustacja i produkcja bimbru, tzw. Pryty, o różnych smakach, przez co wpadają oni ciągle w kłopoty.

Jakub Wędrowycz, jako ceniony w kraju i za granicą egzorcysta, często

bywa wzywany do różnych przypadków, w których konwencjonalne metody zawodzą. Ponieważ książka należy do gatunku fantasy, spotykamy tu wampiry, wilkołaki, czary czy przypadki opętania. Jednak nasz bohater radzi sobie ze wszystkimi znakomicie i najczęściej po wrogu zostaje tylko kupka uporządkowanej ektoplazmy.

W serii tej znajdziemy również mnóstwo odwołań do historii, ponieważ autor jako historyk lubi tworzyć alternatywną wersję wydarzeń, np. gdy Jakub z Jamesem Bondem w kwaterze głównej KGB zmieniają losy świata, doprowadzając do obrad „Okrągłego Stolu” w 1989 roku w Polsce i upadku komunizmu na świecie. Po lekturze pięciu tomów człowiek odnosi wrażenie, że to, czego się nauczył na lekcjach historii, to bzdura, bo przecież wszystko jest zasługą nieustraszonego Jakuba.

Podsumowując, stwierdzam, że saga o przygodach miejscowego egzorcysty amatora już dawno wpisała się do klasyki polskiej literatury fantasy. Polecam ją nie tylko jako typowy „odmóżdżacz”, przy którym niejeden popłacze się ze śmiechu, ale również jako odskocznik od tego, co proponują czy też narzucają media. Są to niesamowicie inteligentne książki, wymagające równie inteligentnego czytelnika. Tylko bowiem ktoś taki jest w stanie wylapać wszelkie niuanse i odniesienia do świata współczesnego, dyskretnie ukryte w książkach.

Magdalena Jodłowska

Lech Janerka w „Żaczku”

„Jezu, jak się cieszę...”

W studenckim klubie „Żaczek” wystąpił legendarny muzyk i tekściarz Lech Janerka („Jezu, jak się cieszę”). W wydarzeniu wzięli udział przyjaźnie nastawieni odbiorcy. Koncert nie został poprzedzony żadnym supportem, a odbywał się w dniu, kiedy to do Krakowa zawitały postacie formatu „Dezertera” czy „Dick4Dick”.

To był mój pierwszy koncert Lecha Janerki, na jakim w końcu udało mi się być, ale powiem szczerze, że już ten jeden raz wystarczył, bym przedłużył długookresowy bilet alternatywnej relacji Kraków – Wrocław. Przekonałem się, co potrafi Janerka, kim jest kontrabasista z jego zespołu i dlaczego grany był także repertuar Klausa Mitffocha. Mimo kultowości Lech Janerka nadal pozostaje artystą niszującym, a jego wizerunek skłania do laudacji „wrocławski Marcin Świetlicki”.

Ves



– *Myśmy już swoje zbuntowali...*

– mówi Krzysztof „Grabaż” Grabowski z grupy „Strachy na Lachy”

Przez wiele lat jesteś związany z radiem. To był przypadek czy celowy wybór?

- Wiesz, upadła stara Polska, pojawił się Balcerowicz, skończyły się studenckie fuchy i obroniłem pracę magisterską – zaczęło się bezrobocie. Z wykształcenia jestem nauczycielem historii i nie mogłem znaleźć pracy w zawodzie – do dziś nie przepracowałem w tym fachu ani dnia. Tymczasem w gazecie pojawiło się obwieszczenie, że poszukują ludzi do radia „Solidarność”. Generalnie pochodziłem z tej opcji, więc udałem się na przesłuchania i dostałem się dzięki tzw. inwencji własnej. W sumie spędziłem w tym radiu 10 lat. Przez 9 lat i sześć miesięcy prowadziłem alternatywną audycję „Pretty good rock show”. Tak ten program nazwał radiowy konsultant, który przyjechał z Nowej Zelandii, by formatować całą stację. Oczywiście, w momencie gdy przyjechał, moja przygoda się skończyła. Co prawda, pracowałem tam jeszcze pół roku, ale tylko po to, by w CV mieć pełną dekadę działalności w eterze. To w ogóle zbiegło się z dziesiątą rocznicą istnienia całego radia. Później miałem małą przerwę, ale to wcale nie oznacza, że nie miałem czasu na przesłuchiwanie płyt...

Chyba wręcz przeciwnie...

- ...tak, w myśl wiersza polskiego

poety, że krawiec chodzi w dziurawych spodniach, a szewc nie może znaleźć drugiego buta do pary. Nie jest tajemnicą, że muzyczni redaktorzy w różnych stacjach wcale nie słuchają płyt. Ze mną było tak samo (*śmiech*). Może nie tak dosłownie i radykalnie, ale wiele razy brakowało na to czasu.

Obecnie tworzysz całkowicie autorską audycję.

- Stwierdziłem, że mam już dosyć robienia składanek swoim kochankom i kolegom z zespołu i że warto by było powiedzieć szerzej o tym, czego słucham, co we mnie siedzi i jakie zjawiska dostrzegam. Generalnie zadzwonili ►



Fot. www.strachynalachy.art.pl

► do mnie z radia „Bis” i zaprosili mnie do udziału w serii audycji, gdzie w każdym programie inna znana osoba prezentuje to, czego słucha. Zgodziłem się, poszedłem i puściłem swoją muzykę, a tydzień później zadzwonił ówczesny szef Roxy fm i zaproponował mi stałą audycję. Zgodziłem się, bo daje mi to wielką swobodę i godziwe pieniądze.

Twój wizerunek artysty i radiowca wpływa na to, że młodzi muzycy traktują cię jak animatora kultury i podsyłają swoje nagrania do recenzowania?

- Tak, ale uciekam od tego jak od ognia. Nie czuję się dziennikarzem i unikam recenzowania kogokolwiek z moich kumpli po fachu – bez względu na to, czy to smarkacz, który zaczyna, czy jakiś wyżeracz pokroju Titusa czy Maleńczuka. W swojej audycji puszczałem to, co mi się podoba, bo nie mam dealu z żadną wytwórnią. Płyty polskich i zagranicznych wykonawców kupuję sam – stać mnie.

Mimo to jesteś w stanie ocenić stan polskiej sceny muzycznej?

- Słuchaj, na pewno wygląda to znacznie lepiej niż przed kilku laty. Właściwie te kapele, które przy swoich debiutach mnie odrzucały, przy swoich drugich płytach prezentują się już znacznie dojrzalej. Odnoszę wrażenie, że mają o wiele więcej do powiedzenia niż kiedyś. Generalnie wydaje mi się, że problemem młodych zespołów jest brak konkretnego przekazu, ale może to znak tego pokolenia – śpiewanie o rzeczach banalnych. Nie wiem. Według mnie ci, którzy mają coś do powiedzenia, skończyli już trzydzistkę. Ale ja mam 44 lata i sorry, ale nie można od mnie wymagać, bym rozumiał to, co się dzieje w głowach dwudziestolatków. Nie ukrywam, że jest lepiej niż było. Bywają zespoły, które – zachowując właściwe proporcje – są na światowym poziomie. Na przykład grupa „Lao Che”...

A wydaje ci się, że jest obecnie ktoś, kto za kilkadziesiąt lat będzie pretendował do bycia taką ikoną jak ty czy Kazik Staszewski?

- Nie wiem tego, bo to trudno określić. Moim zdaniem Kazik Staszewski najlepsze rzeczy zrobił w okresie, w którym był dwudziestolatkiem. To samo mogę powiedzieć o Muńku Staszczuku ►



Po każdym z nas widać, że przeżyliśmy już swoje lata na scenie i inaczej patrzymy na świat. Trudno by było od nas wymagać, byśmy nadal stali na czele buntu



Fot. www.strachynalady.art.pl

► i Maćku Maleńczuku. Każdy ma swój czas. W tym przypadku druga dekada życia tych artystów była dla mnie najbardziej inspirująca, ale na przykład Hrabal pierwszą książkę napisał w wieku 48 lat.

Drażę temat, ponieważ chciałbym dojść do pytania dość sztandarowego, ale kluczowego. Mianowicie – czy czynniki ustrojowe, ekonomiczne i polityczne mają wpływ na to, że akurat muzyka lat 80. uznawana jest za coś kultowego?

- Właściwie nie wiem. Żyję w przekonaniu, że mieszkam w kraju, w którym wszyscy chcą mnie zrobić w ch... , zresztą napisałem o tym piosenkę. Czasami, gdy nic nie piszę, wynika to z mojej bezsilności wokół tego, co się dzieje dookoła. Komuna miała wpisane w sztandary robienie w ch... i wszyscy mieli tego świadomość. Obecnie dzieje się to pod jakimś płaszczykiem. Wtedy było przynajmniej jasne, co jest białe, a co czarne, ale nie pytaj, co czym było (*śmiech*). Za komuny był jakiś surfing pokoleniowy i wszystkie kapele wypływały dość naturalnie. Nie ukrywam, że to bardziej mi się podobało. Nawet ostatnio przesłuchałem 6 odcinków „Historii polskiego rocka” i trzeba przyznać, że wszystko, co tam pokazali, jest oczywiste. Pamiętasz, w którym miejscu to się odbywało, kto to śpiewał, i w dodatku znasz te teksty na pamięć.

W Polsce wszyscy dość mocno trzymają się punktów zaczepienia. Odkąd nie ma „Pidżamy Porno”, zmienili się twoi odbiorcy?

- Tak, bo Polacy są bardzo konserwatywni, jeżeli chodzi o odkrywanie nowych rzeczy. Trzymają się jakiegoś klucza estetycznego. Pamiętasz jakiś koncert młodego zespołu, który zagrał w tym miejscu?

Nie.

- No widzisz, a jest wiele kapel, takich jak „Muchy”, „Cool Kids of Death” czy „Muzyka Końca Lata”. Pominę „Happy-sad”, bo oni wyrwali się z niszy. W latach 80. było tak, że zarówno muzycy, jak i odbiorcy mieli mniej więcej tyle samo lat. To powodowało takie interakcje, że jak usłyszałem „Dezertera”, wówczas, grającego jako „SS-20”, to o mało co kupy nie zrobiłem. Oni śpiewali o tym, o czym ja wiedziałem, ale bałem się powiedzieć.

Na koncertach nie istniało tabu. No ale generalnie, żeby zrozumieć młodsze kapele, trzeba być młodszy. Dałbym wiele, żeby znów mieć 20 lat.

A obecnie, gdy przyglądasz się środowisku muzyków z lat 80., to widzisz w nim zmęczenie?

- Oczywiście. Po każdym z nas wiadać, że przeżyliśmy już swoje lata na scenie i inaczej patrzymy na świat. Trudno by było od nas wymagać, byśmy nadal stali na czele buntu – tak naprawdę nie wiadomo czyjego. Myśmymy już swoje zbuntowali (*śmiech*). I dobrze, że mimo to potrafiliśmy z różnych sytuacji wyjść z twarzą. Stanie na czele rewolty wiąże się także z zapleczem, a obecnie zaplecza nie ma. Nie wiem, czy w ogóle jest teraz jakieś zapotrzebowanie na rewoltę. Chyba jesteśmy w czasie odpowiadającym latom 60. i rządowi Gomułki – ważne, by było co zjeść i gdzie pojechać na wczasy.

Na najnowszej płycie grupy „Strachy na Lachy” „Zakazane piosenki” prezentujesz odświeżony materiał z lat 80. Zaaranżowaliście po swojemu piosenki takich grup, jak „Izrael”, „Varietes”, wspomniany już „Dezerter”, „Rejestracja”, „WC” czy „Holy Toy”. Trzeba mieć wysoki status, by podjąć się takiego wyzwania? Dlaczego nie zająłeś się takim materiałem wcześniej?

- Właściwie to się zbiegło z tym, że sam nie potrafiłem się wypowiedzieć. W każdej twórczości bywa taki moment, w którym należy przyhamować. Ja nigdy nie traktowałem pisania jak pracy przy taśmie, gdzie umowa z wytwórnią wymaga, byś w ciągu czterech lat nagrał cztery płyty. Jeżeli coś mnie blokuje, nie mam pomysłu lub po prostu chcę odpocząć, to nie widzę problemu. Pisanie bardzo eksploatuje. Tak było po płycie „Marchef w butonierce”. Długo trzeba było czekać na nową płytę „Pidżamy”, więc zacząłem robić coś nowego w sferze tekstów – efektem tego okazała się pierwsza płyta „Strachów”. Mocno się też spociłem przy drugiej pt. „Pila tango”, ale uważam, że mimo wszystko popełniłem tam kilka niezłych tekstów. Właściwie już wtedy wiedziałem, że będzie musiała nastąpić dłuższa przerwa, choć z drugiej strony wiadomo, że aby regularnie koncertować, należy mieć jakiś świeży materiał.

I tak powstała płyta „Autor” z piosenkami Kaczmarzkiego?

- Z tym materiałem było tak, że kiedyś dla żartu nagraliśmy swoją wersję piosenki „Mury”, którą Kaczmarzki rozślawił. Sporo ludzi pytało się potem, czy nie podjęlibyśmy się opracowania całej płyty opartej na jego motywach. Wiele razy odrzucałem tę propozycję, ale w końcu stwierdziłem, iż fakt, że byłem z Kaczmarzkiem w kontrze, może dać ciekawy efekt. Pomyślałem, że skoro przez tyle lat jego stylistyka mnie mierzyla, to może nadszedł czas, by się za nią zabrać. Zacząłem przesłuchiwać jego nagrania i w pewnym momencie powiedziałem chłopakom, że zrobimy płytę z tymi piosenkami. Nastąpiła konsternacja (*śmiech*). Wiesz z „Pidżamą” bym sobie nie mógł na to pozwolić, bo byliśmy taką marką, że każdy skok w bok traktowano by jak niewybaczalną zdradę.

W naszym kraju zdrada w muzyce bywa bolesna...

- No i właśnie dlatego stwierdziłem, że nie warto kopać się z koniem. Postanowiłem zejść ze sceny w glorii chwały, przy pełnych salach, blasku reflektorów itd. „Strachy na Lachy” od początku pozbawione są kontekstu i dominanty. Robimy to, co chcemy. Każda płyta jest inna, więc mogliśmy zrobić materiał Kaczmarzkiego.

Z tego samego powodu powstały „Zakazane piosenki”?

- Właściwie w połowie pracy nad płytą „Autor” pojawiła się propozycja, by zrobić koncert monograficzny w Lublinie z piosenkami kapel z lat 80. Koncepcja była taka, że mieliśmy zrobić „Perfect”, „Lombard”, „Lady Pank”, „Republikę”..., a ja odrzuciłem wstępnie projekt i powiedziałem, że nie mam czasu. Naprawdę byłem przekonany, że nie mam na to ochoty, bo mieliśmy dużo pracy z Kaczmarzkiem, przy którym okazało się, że zlobienie w metalu jest wyczerpujące. No ale od słowa do słowa i ostatecznie zaproponowałem, że możemy przygotować materiał z rzeczy mniej znanych, które osobiście mnie kształtowały. Okazało się, że ów pomysł został zaakceptowany, a to wiązało się z tym, że należało zacząć go realizować.

Praca na tym albumem była trudniejsza niż w przypadku wcześniejszego?

- Nie, ponieważ muzykę z lat 80. mam zapisaną na twardym dysku w głowie. Wybrałem sobie 50 kawałków, potem 30, aż w końcu opracowaliśmy około 15 numerów, które były dla mnie ważne i w przypadku których wiedziałem, że się przy nich nie zbłążymy. Chyba los tak chciał, że dzięki temu zrobiliśmy po kolei dwie płyty z coverami. W dodatku oba materiały były gotowe w tym samym czasie. Sami zdecydowaliśmy, który ukaze się pierwszy. W sumie wszyscy chcieli „Zakazanych piosenek”, ale stwierdziłem, że wydamy Kaczmarzkiego, bo te utwory, które w jego przypadku wybra-

rze w naszym kraju. Ja nigdy się nigdzie nie pchałem. Zawsze wolę stać z boku i robić to świadomie. Wiesz, wystarczyłoby, żeby się pojawił dwa razy u Kuby Wojewódzkiego albo w jeszcze innym programie pokazał kawałek dupy i wtedy wszystko by wyglądało inaczej. Ale jednak zawsze, gdy ktoś mnie spyta, dlaczego nie jestem tak znany jak inni, odpowiadam, że nagrodą za to jest fakt, iż mogę wejść do każdej knajpy i nikt mnie nie rozpozna.

No chyba że włożysz na głowę cylinder...

- Szapoklak, no tak (śmiej). Moim zdaniem owa pozorna nieobecność jest

działem, że w tym świecie wszystko jest bardzo chybotałowe. Czasem lepiej pójść z wiatrem niż stanąć przeciw niemu, bo z wiatrami zawsze przegrasz.

Czy materiał, jaki obecnie prezentujecie na koncertach, będzie rozszerzony czy na razie będziecie grać utwory z tych najnowszych płyt?

- No co ty, w listopadzie usiadłem i napisałem kolejną płytę (śmiej). Tak wyszło. Przez trzy i pół roku, kiedy nie napisałem nic, chodziłem i zbierałem myśli. W komórce mam funkcję typu notatnik i wszystkie pomysły spisuję. Pewnego razu w listopadzie wgrałem to wszystko do komputera i z pourywanym notatek napisałem 12 piosenek. Poszło mi o wiele szybciej niż przy płycie „Piła tango”. Tamten materiał powstał mniej więcej w 5 miesięcy.

Ten sposób tworzenia tekstów wskazywałby jednak, że ci, którzy się upierają, że jesteś poetą, mają rację...

- Szczerze mówiąc, w ogóle mnie to nie obchodzi – może jestem. Raz tak, raz nie. Wszędzie i zawsze piszę piosenki, nigdy w życiu nie stworzyłem świadomie ani jednego wiersza.

Nie byłbym sobą, gdybym nie wprowadził wątku poety Marcina Świetlickiego. Swego czasu współpracowaliście...

- To prawda, współpracowaliśmy około 10 lat temu. Obecnie nasze relacje się rozluźniły, ale wtedy były dość zacieśnione. Według mnie jest to jeden z najbardziej interesujących pisarzy w naszym kraju, przede wszystkim jeśli chodzi o wiersze. To poeta mojego pokolenia i nie potrzebuje żadnych kluczy, za pomocą których musiałbym rozszyfrować, o co mu chodzi. On podaje wszystko tak, że bezpośrednio trafia to zarówno w serce, jak i w dupę. Nie ma lepszego od Świetlickiego (śmiej). Nasza znajomość to kwestia braterstwa duszy, a czasami dla faceta ważniejsza jest znajomość tego typu niż relacja z ukochaną kobietą. Po prostu mało bywa gości w tym kraju, z którymi można sobie normalnie pogadać, nie nudząc się, nie ziewając i nie patrząc na zegarek po 10 minutach...

To miło, bo spędziłeś ze sobą przeszło pół godziny...

Rozmawiał Bartosz Walat

Postanowiłem zejść ze sceny w glorii chwały, przy pełnych salach, blasku reflektorów...

łem, bardzo trafnie odzwierciedlały mój ówczesny stan wewnętrzny. To był taki czas, kiedy osobiście byłem w stanie wygenerować tylko słowa na „k”, „ch”, „wypier...”, a potrzebowałem określeń, które mogłyby opisać czas PIS-u w rozkwicie. Kaczmarzski spadł mi z nieba, bo nikt inny nie byłby w stanie tak trafnie tego powiedzieć. Nawet pominęliśmy fakt, że Habakuk też grywał w tym czasie Kaczmarzkiego – zrobiliśmy to i nawet dostałem z tego powodu Paszport „Polityki”.

Ja mam nadzieję, że został przyznany nie tylko z tego powodu...

- ... ja też mam taką nadzieję.

Muszę przyznać, że osobiście trochę mnie razi, iż „Grabieża” uhonorowano Paszportem „Polityki” dopiero wtedy, gdy zabrał się za Kaczmarzkiego. Trochę to śmieszne, nie uważasz?

- Poniekąd masz rację, choć w sumie za płytę „Piła tango” także byłem nominowany. Mówię o tym Paszporcie, bo uważam, że to naprawdę najbardziej nobilitująca nagroda dla twórców z różnych branż, którzy grzebią się w kultu-

jakimś sposobem na to, by po dwudziestu latach obecności w show-biznesie nadal w nim być. Jestem strasznym indywidualistą i gościem zamkniętym w sobie. Jakbyś pogadał z działem promocji w mojej firmie wydawniczej, tobyś się dowiedział, że za najbardziej przekłętą osobą nie uchodzi Kazik Staszewski, ale właśnie ja (śmiej). Promocja to rzecz, której nienawidzę, to samo dotyczy robienia clipów. To strata czasu. Mam po prostu pewną filozofię istnienia w tej branży i uważam, że nie zawsze trzeba się rzucać z motyką na słońce, bo czasem to słońce przychodzi do ciebie, a motykę masz schowaną w składzie z narzędziami.

Może to wynika z tego, że jesteś zodiakalnymi „Rybami”?

- Nawet „Rybami”, ale jakby trzeba było wyjąć motykę, tobym ją wyjął i przypier.... Nie widzę problemu, jednak mam konkretną konstrukcję psychiczną. Było kilka momentów, kiedy mogłem się zdecydować, by pójść w stronę celebryty, ale nie skorzystałem. Mnie się kariera zaczęła, gdy byłem po trzydziestce, miałem pewną ukształtowaną świadomość i wie-

Michał (wraz z ojcem) kontynuuje rodzinne tradycje

Robi świetne nalewki

Agrestówka, wiśniówka, żurawinówka, miętówka – to tylko niektóre specjały Michała. Ten młody mężczyzna jest miłośnikiem nalewek, jednakże nie ich degustacji, jak by się mogło wydawać. On je... wyrabia. Od kilku lat tworzy coraz nowsze receptury i smaki oraz ulepsza stare. Tą niecodzienną jak na młodego człowieka pasją zaraził się od swojego ojca.

- Od dziecka podpatrywałem tatę przy tych robieniu trunków. Początkowo zbierałem tylko owoce z przydomowego sadu za Krakowem. Z czasem degustowałem je, gdy puściły pierwsze soki. Kiedy miałem 19 lat, postanowiłem zrobić pierwszą samodzielną malinówkę. Nieskromnie mówiąc, wyszła całkiem smaczna...

Michał wspomina, że dawno temu wraz z rodzicami znaleźli zapiski z recepturami nalewek, które robiła również babcia. Wypróbowali je, a wraz z upływem lat każdy z nich próbował je modyfikować. Tak więc dziś trunki produkowane przez chłopaka są jego autorskimi.

Tak jak m.in. pomarańczówka „Wisielec”, którą nazwał tak, gdyż przy wyrobie nabija na owoc pomarańczy mnóstwo gwoździków i wiesza go na tasie w słoju wypełnionym spirytusem i naturalnym sokiem z tych owoców. Poprosił go więc, aby pokrótce wyjaśnił, jak wygląda proces wyrabiania nalewek od początku do końca.

- To dziecinnie proste! Potrzebny jest duży słoć, oczywiście jego wielkość zależy od tego, jaką ilość napoju robisz. Wrzucasz do niego owoce, które zasypane cukrem, po kilku dniach puszczają sok. Ten zlewasz do gęsiorka, dodajesz przyprawę i wlewasz spirytus. Szczelnie zamknięte pozostawiasz na kilka miesięcy i tutaj dodam, że czas działa na korzyść. Ot cała filozofia... – wyjaśnia.

Mówi, że co rok, robiąc nowe coraz większe partie, zostawia sobie butelkę trunku i chowa głęboko do szafy, bo za kilka lat chce sprawdzić, czy smakują tak samo.

Największym sukcesem Michała jest wygrana w konkursie na najlepszą nalewkę, który zorganizowała sieć „Szambelan”. Konkurencja była niemała, a i jury wymagające. Wśród nich znany aktor i degustator Jerzy Stuhr. Michał zgłosił kilka swoich specjałów. Bezapelacyjnie najlepszą nalewką okazała się jego wiśniówka na miodzie. Sam zwycięzca z dumą, ale dość nieśmiało opowiada o wygranej.

- Do konkursu zgłosiłem się dla zabawy, bez przekonania, że wypadnę, a raczej moje nalewki wypadną tak dobrze. Gdy jury ogłosiło werdykt, byłem ogromnie zaskoczony. Szczególnie mówiąc, sądziłem, że specjały małego chłopaka nie przypadną do gustu podniebieniom sędziów. Od pana Stuhra dostałem nawet nagrodę prywatną. Rok później wraz z nim wybierałem najlepszą nalewkę. Muszę powiedzieć, że było to naprawdę ciekawe przeżycie.

Michał uświadomił mi, że wbrew pozorom wielu młodych ludzi podziela jego pasję. Przykładem tego są fora internetowe, na których nie tylko szuka cennych receptur, ale i poznaje podobnych jak on hobbystów. Nie udało mi się namówić chłopaka do zdradzenia receptury chociażby jednej nalewki. - Receptury to mój słodki sekret – odpowiada na koniec.

Aneta Dudzik

„Dni Egipskie” w Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

O tajemnicach piramid i złocie Tut Ankh Amona

W dniach 25-27 marca br. w Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego odbywały się „Dni Egipskie” zorganizowane przez naszą uczelnię przy współpracy z największą prywatną egipską szkołą wyższą October 6th University w Kairze oraz Lehnert & Landrock Orient Art Publisher.

Studenci tłumnie gromadzili się w auli, by wysłuchać wykładów, w przerwach obejrzeni piękne fotografie Egiptu wykonane przez artystów z firmy Lehnert & Landrock oraz nabyli oryginalne arabskie pamiątki, a także spróbowali przysmaków kuchni egipskiej. Inaugu-

rację „Dni Egipskich” uświetnili obecnością ambasador Indonezji Hazarin Pohan oraz prorektor October 6th University prof. Talat Rihan.

DZIEŃ PIERWSZY. Profesor egipтологии z uniwersytetu w Kairze Said Gohary opowiada o tajemnicach piramid i Sfinksa. Wprawdzie napisano i powiedziano na ten temat już bardzo wiele, ale nieczęsto zdarza się wysłuchać kogoś tak blisko związanego z Egiptem i jego zagadkami. Stąd skupienie na twarzach słuchaczy. Gość z polotem odsłania niektóre tajemnice Sfinksa, dotyka nieznanych kwestii mumifikacji. Uznaję, że istnieją jednak podobieństwa

między cywilizacją starożytnego Egiptu i polską (np. narodowy stosunek do religii, historii i zabytków).

Prof. Gohary naświetla sposób postrzegania życia i śmierci przez starożytnych Egipcjan, mówi o tym, co znajduje się w grobowcach egipskich władców. Okazuje się, że w piramidach odnaleziono nie tylko przedmioty ściśle związane z religią i mitologią, ale także ogromną liczbę przedmiotów użytkowych, które wkładano do piramid po to, by faraon po śmierci miał w zaświatach wszystko, czego zapragnął. Nie dziwiły więc obecne tam łodzie, rydwany, kompletne zastawy stołowe czy przedmioty codziennego użytku.

Przepiękne slajdy arcydzieł starożytności egipskiej dopełniają reszty. Niestety, istnieją na owym idyllicznym wizerunku rysy – przez wiele lat Egipt był systematycznie pustoszone przez pseudoarcheologów i poszukiwaczy skarbów, więc znaczna część narodowego dziedzictwa egipskiego rozsiana jest po największych muzeach Europy i świata.

Dzisiejszy Egipt to jednak nie tylko mekka dla turystów i archeologów. Karim Hassanien zdradza, jak dynamicznie rozwija się gospodarka egipska, a Sebastian Gadowski wprowadza studentów w tajniki języka arabskiego i niezwyklej literatury arabskiej.

DZIEŃ DRUGI. Prof. Gohara wygłasza wykład nt. *„Najbogatszy faraon Egiptu Tut Ankh Amon i tajemnica jego śmierci, zagadkowe losy młodego władcy i rozsięte po muzeach świata bogactwa z jego grobowca”*. Niby o tym sporo wiadomo, gdyż napisano wiele dzieł, powstały filmy zarówno dokumentalne, jak i fabularne, przygodowe, ale każdy słucha z zainteresowaniem. Postać Tut Ankh Amona zostaje przedstawiona w sposób niezwykle wyrazisty, z naciskiem na jego ludzki wymiar. Był on władcą szczególnie zainteresowanym zbliżeniem się do „przeciętnego” poddanego.

Na mównicy pojawia się prof. Karim Hassanien, specjalista od egipskiej ekonomii. Opowiada i pokazuje na slajdach, jak ekspansywna i energiczna jest dzisiejsza gospodarka Egiptu. Poznajemy blisko- i dalekosiężne plany dotyczące współpracy międzynarodowej kraju faraonów, dowiadujemy się też, jak kształtuje się pozycja Egiptu w kontaktach z największymi światowymi organizacjami gospodarczymi oraz z Unią Europejską.

DZIEŃ TRZECI. Wreszcie czas na zadawanie pytań i dyskusję o odległych dziejach cywilizacji egipskiej. Studenci pytają o różne sprawy, widać, że ich to niezwykle interesuje. Historia, ale i współczesność Egiptu to jednak rozległy temat, goście nie są w stanie do końca zaspokoić ciekawości słuchaczy. Trzy dni to za mało... Może przy okazji następnego spotkania z egipskimi specjalistami dowiemy się czegoś o zaginionej mumii jedynej królowej Egiptu Hatszepsut?

Dorota Zdechlikiewicz



Fot. Mirosław Zak

- Obracamy się w stylistyce jazzu, latino i fusion

Grają zarówno standardy, jak i własne kompozycje inspirowane muzyką swingową czy funkową. O jazzowym zespole sił Krakowa i Kijowa z zespołem „Kijów Kraków Band” rozmawia Bartosz Walat

Jaki jest charakter tego, co reprezentujecie muzycznie i stylistycznie?

Vitaliy Ivanov: – Jesteśmy zespołem, który stanowi połączenie sił Krakowa i Kijowa. Obracamy się w stylistyce jazzu, latino i fusion. Większość kompozycji została zaczerpnięta z pewnych standardów, które realizujemy według własnego wyczucia. Właściwie wszystko zaczęło się od tego, że przyjechałem do Krakowa i dołączyłem do zespołu „Train De-Lux”. Po jakimś czasie zespół się rozpadł, ale po poszerzeniu składu muzyków o Oleksandrę wszystko przetworzyło się w „Kijów Kraków Band”.

Paweł Klubaj: – Istniejemy od 2005 roku i od tego czasu ewoluujemy.

Kraków jest dobrym miejscem do grania takiej muzyki?

Michał Peiker: – Myślę, że Kraków to miejsce dobre jak każde inne. Wszystko zależy od ludzi, których uda się skusić do przyścia na koncert. To tak naprawdę bardzo wdzięczna muzyka, bo gramy kompozycje znane, przearanżowane na nasz autorski sposób. W Krakowie jest dużo młodych ludzi, którzy interesują się jazzem, i dlatego wytwarza się tu bardzo miły klimat.

Wiem, że każdy z was współtworzy także inne projekty muzyczne. Wszystkie są związane z jazzem?

Michał Peiker: – Właściwie każdy z nas ma projekty związane z różnymi wpływami. Nie jest to komercja, ale gra-

my w bandach, które stylistyką sięgają po pop, a nawet punk. Generalnie gramy wszystko, co lubimy. „Kijów Kraków Band” znakomicie łączy nasze zainteresowania muzyczne.

Oleksandra Zhernova: – Tutaj warto podkreślić, że w naszym zespole sporo miejsca poświęca się na autorskie kompozycje. One spotykają się z bardzo pozytywnym odbiorem. Gramy dużo pomysłów Vitalija, Pawła, a od najbliższego koncertu wpleciemy w to materiał Michała.

Michał Peiker: – Tak. Tworzyłem go 33 lata, ale w końcu jest na ukończeniu (śmiech).

Mówiliście, że w naszym mieście jest sporo osób zainteresowanych waszą muzyką. Można to środowisko jednoznacznie scharakteryzować?

Michał Peiker: – Myślę, że trudno to sprecyzować, choć w dużej części są to osoby skupione wokół krakowskich szkół muzycznych. Tych szkół jest dużo, a oprócz tego wielu wieloletnich fanów jazzu, wiernych odbiorców. Podejrzewam, że wiąże się to też z naszymi interpretacjami, w których w zachodnie kompozycje wplatamy ludowość i przez to tworzą się ciekawe twory. No i warto też zaznaczyć, że forma muzyczna, jaką prezentujemy, nie wydaje się skomplikowana. To nie jazz rozumiany stereotypowo. Mieszmamy wiele gatunków, gramy klubowo.

Czy w Krakowie istnieje wiele scen, gdzie zespoły takie jak wasz mogą się zaprezentować?

Oleksandra Zhernova: – Niestety, niewiele klubów jest otwartych na naszą muzykę. Wynika to z tego, że menedżerowie uważają, iż do muzyki musi być wokół, a my gramy instrumentalnie. Jednak mamy się gdzie pokazać. Współpracujemy z „Mile Stone Jazz Clubem”, „Harris Piano Jazz Bar” oraz klubem „U Muniaka”.

Michał Peiker: – Warto dodać, że mieliśmy kilka koncertów w klubie „Bombaj” w Tarnowie – tam jest znakomita atmosfera do takiego grania. Właściciel klubu, jazzman, przychylnie patrzy na młode zespoły. Powinien być przykładem podejścia do nowych projektów.

A jak wygląda sfera wydawnicza w waszym przypadku?

Vitaliy Ivanov: – Na razie mamy demo, ale wydaje mi się, że dojrzelismy już do momentu, w którym możemy coś nagrać. Na razie gramy koncerty.

Michał Peiker: – Potrzeba sporego zaangażowania, a obecnie ze względu na nasze inne projekty jesteśmy w lekkich rozjazdach. Wiem jednak, że zbliża się moment, w którym zbierzemy siły i pokazemy, co potrafimy.

Paweł Klubaj: – Na razie staramy się jak najlepiej aranżować, łączyć style i wzajemnie się inspirować. Uwielbiamy grać i właściwie to, co robimy w najczyst-

szej formie, można poznać na naszych koncertach.

Mówiliśmy o klubach i odbiorcach, a jaka atmosfera panuje wśród samego środowiska muzyków?

Michał Peiker: – Kraków jest tak naprawdę wioską, w której wszyscy się znają. Mało tu zawiści. Czasami się zdarza jakaś nieprzyjemna sytuacja, bo ktoś kogoś wygryzie w jakimś nieodpowiednim momencie, ale to sporadyczne i naturalne sytuacje. Tu właściwie każdy z każdym gra. Konkurencja bywa zdrowa.

Oleksandra Zhernova: – Jako przedstawiciel młodszych pokoleń, mogę zaznaczyć, że bardzo ważnym miejscem jest klub „U Muniaka”, gdzie

młodzi muzycy się poznają i mogą wspólnie grać.

Czy sposób życia i atmosfera panująca w Kijowie i Krakowie są odległe od siebie?

Vitaliy Ivanov: – Ja tutaj czuję się bardzo dobrze, choć początkowo nie znałem tego miasta i musiałem przyswajać nieznane dotąd tradycje. Nie jest to proste, ale bardzo ciekawe. Bez problemu dogaduję się z muzykami. To środowisko podobne do tego w Kijowie, choć jest tu więcej miejsc do grania i więcej możliwości. Co prawda, Kijów pozostaje o wiele większy od Krakowa, jednak tu kultura muzyczna jest bardziej rozbudowana. Największą różnicą to sposób odbioru

muzyki. W Krakowie publiczność jest o wiele bardziej przyjazna i wyedukowana muzycznie.

Michał Peiker: – Nam się z nimi bardzo dobrze gra. Nie odczuwam żadnych różnic intelektualnych (*śmiech*). Są bardzo weseli, radzą sobie coraz bardziej z naszym językiem i dobrze się z nimi współpracuje.

Skoro nie ma różnic światopoglądowych, to może istnieją jakieś różnice w estetyce muzycznej?

Oleksandra Zhernova: – Szczerze mówiąc, nie widzę różnic. Gramy jazz, który nie jest pochodzenia słowiańskiego. Zarówno w Polsce, jak i na Ukrainie trzeba go grać według pewnych norm.

- By spotkać się z Krystyną, trzeba mieć propozycję godną jej talentu.

Wydawało mi się, że postać Marty może dać jej satysfakcję – mówił Andrzej Wajda na pokazie specjalnym w „Multikinie”

„Tatarak”, czyli dużo Iwaszkiewicza, trochę Jandy

W krakowskim „Multikinie” odbyła się premiera najnowszego filmu Andrzeja Wajdy pt. „Tatarak”. Pokaz specjalny zgromadził rzeszę znajomych samego reżysera, jak i część krakowskiego środowiska dziennikarzy. Już przed rozpoczęciem projekcji wszyscy byli przekonani, że biorą udział w wydarzeniu nietuzinkowym.

Szczególne charakter projekcji nadała sama obecność reżysera i młodego aktora Pawła Szajdy (mieszka i pracuje w USA). Niestety, nie pojawiła się w Krakowie Krystyna Janda.

– Jarosław Iwaszkiewicz jest dla mnie pisarzem szczególnym, ponieważ jego bohaterowie spotykają się z prawdą i wystarczy znaleźć dobrych aktorów, by zobaczyć, jak zmieniają się oni w postaci z jego opowiadań – powiedział Andrzej Wajda.

Zaznaczył także, że jednym z powodów powstania filmu „Tatarak” była ogromna chęć ponownego spotkania się na planie z Krystyną Jandą, z którą kiedyś pracował przy okazji „Człowieka z mar-



mur”, realizowanego w Nowej Hucie. – By spotkać się z Krystyną Jandą, trzeba mieć propozycję godną jej talentu. Wydawało mi się, że postać Marty z „Tataraku” może dać jej satysfakcję – podkreślił reżyser.

Ze względu na niewielką objętość opowiadania Iwaszkiewicza Andrzej Wajda szukał drugiego wątku, który by mógł dopełnić treść filmu. Gdy go znalazł, był zaskoczony, na jaką skalę film przerodził się w osobistą opowieść Krystyny Jandy. – Pracuję już z filmem wiele lat, ale pierwszy raz zdarzyło mi się, żeby na planie doświadczyć tremy – podsumował.

Głos zabrał też młody aktor namaszczony przez Andrzeja Wajdę Paweł Szajda, który podkreślił, że cieszy się z tego, iż miał możliwość wzięcia udziału w polskiej produkcji i współpracować z tak wielkim reżyserem i wspaniałymi aktorami.

A później odbyła się projekcja filmu „Tatarak”. Ma on bardzo skonkretyzowany klucz interpretacyjny, więc każda próba zrecenzowania go mogłaby zdradzić puentę. Po prostu trzeba samemu wybrać się do kina...

(Krejt)

Teatr KTO

MAJ 2009



7.05. czwartek	Atrament dla leworęcznych	Teatr KTO
8.05. piątek	Atrament dla leworęcznych	Teatr KTO
9.05. sobota	Ostatnia godzina	Teatr KTO
14.05. czwartek	Atrament dla leworęcznych	Teatr KTO
15.05. piątek	Atrament dla leworęcznych	Teatr KTO
16.05. sobota	Atrament dla leworęcznych	Teatr KTO
21.05. czwartek	Atrament dla leworęcznych	Teatr KTO
22.05. piątek	Atrament dla leworęcznych	Teatr KTO
23.05. sobota	Atrament dla leworęcznych	Teatr KTO
oraz	VIII Międzynarodowy Festiwal Zupy Plac Nowy, godz. 17.00-22.00	
28.05. czwartek	Atrament dla leworęcznych	Teatr KTO
29.05. piątek	Atrament dla leworęcznych	Teatr KTO
30.05. sobota	Atrament dla leworęcznych	Teatr KTO

Wszystkie spektakle o godz. 19.00 w Teatrze KTO

Bilety/Tickets:
Spektakle - 30 i 20 zł

Teatr KTO ul. Gzysików 8 Kraków
tel. 012 633 89 47, godz. 10 - 18
promocja@teatrkto.pl
www.teatrkto.pl

Centrum Informacji Kulturalnej
ul. Św. Jana 2
tel. 012 421 77 87, godz. 10 - 18

SPEKTAKLE POZA SIEDZIBĄ:

15.05. piątek	Quixotage Oberhausen, Niemcy
16.05. sobota	Quixotage Mettmann, Niemcy
29.05. piątek	Parada Trzy okresy życia kobiety i Śmierć Dni Sztuki Współczesnej, Białystok, godz. 21.30
30.05. sobota	Ostatnia godzina w ramach Dni Sztuki Współczesnej Teatr Szkolny Akademii Teatralnej w Białymstoku, godz. 19.00

Piotr i Kinga, mieli okazję przekonać się, że ich mieszkanie, a konkretnie ich sypialnia, może się stać miejscem publicznego i nieobyczajnego wybryku

Nieobyczajnie...

We wrześniu 2008 roku, do drzwi jednego z krakowskich mieszkań studenckich zapukała dwójka funkcjonariuszy policji w sprawie wezwania o popełnieniu wykroczenia przeciw obyczajowości. Policjanci nie kryli rozbawienia całą tą sprawą - wspomina Piotr. Piotrek i Kinga dowiedzieli się, że podczas „okazywania sobie uczuć” mieli widownię w postaci kilku gimnazjalistów, którzy wypatrzyli ich przez okno szkoły, która znajduje się po drugiej stronie ulicy. Podglądaczy z kolei przyłapała nauczycielka, która nie kryjąc oburzenia zachowaniem sąsiadów z naprzeciwka, postanowiła stanąć na straży moralności i natychmiast poinformowała o całym zajściu policję. Ponieważ kochankowie nie widzieli nic złego w tym, że w miłosnym roztargnieniu zdarzyło im się zapomnieć zakręcić żaluzje, postanowili udać się na komisariat i złożyć wyjaśnienia.

Czas mijał, Kinga zgubiła klucz do skrzynki pocztowej, sprawa „seksafery” odeszła w niepamięć, nadeszły święta, a tuż po nich wezwanie, którego listonosz nie wręczył do rąk adresata, ale wrzucił do wspomnianej już skrzynki pocztowej. Tak oto Kinga i Piotr nie stawili się na styczniowej rozprawie sądowej, której wynikiem był wyrok: miesiąc ograniczenia wolności i 20 godzin robót społecznych za dopuszczenie się publicznego i nieobyczajnego wybryku.

Jak podają mądrości zawarte w kodeksach prawnych, zachowania nieobyczajne to czyny kryminalne naruszające zasady obyczajowości w dziedzinach płciowych, mające wywołać zgorszenie, (np. uczucie wstydu seksualnego). Definicja taka daje duże pole interpretacji, do tego stopnia, że mieszkanie prywatne można uznać za miejsce publiczne. Jakby tego było mało, nauczycielka, która występowała z linii oskarżenia, starała się udowodnić w sądzie, że Kinga i Piotr czerpali seksualną przyjemność z bycia obserwowanymi przez dzieci.

- *Cała ta sytuacja wydaje się totalnym absurdem, zabiera nam czas i zjada nerwy - mówi Piotr. - Czujemy się niewinni, dlatego odwołujemy się od wyroku.*

Przepisy prawne ingerujące w moralność to temat śliski i kontrowersyjny w dzisiejszym sądownictwie. Interpretacja zmienia się wraz z mentalnością. Trudno przewidzieć, po czyjej stronie w tym wypadku jest prawo. Powstaje tylko pytanie o szkodliwość czynu Piotra i Kingi...

Katarzyna Stokłosa



Pod koniec lutego br. Krakowska Szkoła Wyższa im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego zmieniła nazwę na „*Krakowska Akademia im. Andrzej Frycza Modrzewskiego*”

VIVAT AKADEMIA!

Olbrzymi sukces, wielkie wyrazy uznania i gratulacje – takie słowa najczęściej padały z ust gości przybyłych 31 marca br. na uroczystość otrzymania przez Krakowską Szkołę Wyższą statusu akademii. Od teraz nazywa się ona „*Krakowską Akademią im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego*”. Dopisali rektorzy i profesorowie uczelni Krakowa i innych ośrodków akademickich, nie zabrakło prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego oraz byłego ministra edukacji Mirosława Handkego.

Gości przywitał i słowo wstępne wygłosił rektor prof. dr hab. Jerzy Malec, a prof. dr hab. Jacek Majchrowski opowiedział o tym, jak w roku 1999 urodził się pomysł utworzenia uczelni prywatnej w mieście słynącym z wielu wyższych szkół państwowych. – *Wierzę w to, że za kilka lat staniami się uniwersytetem!* – powiedział z dumą.

– *My już nie jesteśmy zwykłą szkołą wyższą. Maturzysta, który wybierze niedługo naszą uczelnię, przyjdzie do akademii* – zaznaczył rektor Jerzy Malec.

Rozwój uczelni od jej początków po stan obecny przybliżył zebrany kanclerz prof. dr Klemens Budzowski. Krakowska Akademia naprawdę ma się czym poszczycić. Jest największą niepubliczną uczelnią w Małopolsce i drugą w Polsce. Na 9 wydziałach, 18 kierunkach i 46 specjalnościach studiuje ponad 18 tys. osób pod okiem 2 tys. pracowników naukowych.

Krakowska Akademia im. Andrzeja Frycza chce od przyszłego roku akademickiego poszerzać ofertę dydaktyczną i realizować wysoko postawione cele. Władze uczelni myślą o kierunku ratow-



Fot. Maciej Banach

nictwo medyczne, a także o kosmetologii. Od października utworzona zostanie na Wydziale Politologii i Komunikacji Społecznej specjalność dziennikarstwo, od paru lat istnieją już bowiem w uczelni telewizja internetowa i radio, wydawany jest miesięcznik studencki „Mixer”. Wkrótce rozpocznie się budowa budynku D kampusu przy ul. Herlinga-Grudzińskiego.

W części artystycznej uroczystości nadania Krakowskiej Szkole Wyższej statusu akademii zaproszeni goście mieli okazję wysłuchać fragmentów pism Andrzeja Frycza Modrzewskiego w interpretacji Krzysztofa Globisza, a na koniec studenci PWST zaprezentowali frywolne, ale niezwykle pouczające fraszki krakowianina Jana Szaudyngera.

Mirosława Kędzierska

- Chcemy pokazać ludziom, że jesteśmy dla nich...

Rozmowa z **Dariuszem Nowosielskim**, prezesem Koła Naukowego „Greenlight” studentów ochrony środowiska **Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego**

Mateusz Płocica: – Powiedz mi parę słów o sobie, co studiujesz i skąd wziął się u ciebie pomysł na stworzenie klubu.

Dariusz Nowosielski: – Jestem na III roku ochrony środowiska Krakowskiej Akademii, a pomysł – właściwie pasja – wziął się z tego, iż przez całe życie zajmowałem się chemią i biologią i chciałem kontynuować zainteresowania, wiążąc się z tym kierunkiem.

Kto jest opiekunem waszego klubu? Skąd wzięła się myśl, żeby organizować coś takiego?

- Opiekunem klubu jest niezwykle sympatyczna pani dr Dominika Sułkowska, którą można wychwalać pod niebiosa. To naprawdę wspaniała osoba, która zgodziła się wziąć nas pod swe skrzydła. Wszystko rozpoczęło się od tego, że kiedyś mieliśmy z dr Sułkowską zajęcia, dzięki czemu poznaliśmy ją z jak najlepszej strony. Obecnie wspólnie podejmujemy decyzje i wszystkie sprawy omawiamy razem z nią. Oprócz tego dr Sułkowska zachęca nas do brania udziału w jak największej liczbie akcji – dzięki temu zdobywamy nowe certyfikaty, nabywamy nowe umiejętności, co na pewno będzie przydatne w naszym przyszłym życiu i pomoże nam w znalezieniu jakiejś dobrej pracy, związanej z naszym kierunkiem studiów. Pomysł wziął się również z chęci realizacji siebie oraz zaangażowania przyjaciół w tę inicjatywę. Jeśli chodzi o nasze zainteresowania, to wszyscy mamy wspólne potrzeby, kochamy góry, przyrodę oraz jej piękno, dlatego też pomysleliśmy, że to właśnie ono może być jakimś bodź-

cem dla ludzi – chcieliśmy kształtować światopogląd oraz opinię. Zamierzamy aktywnie działać, pragniemy dotrzeć do jak największej grupy ludzi, żeby pokazać im, iż to nie są jakieś dziwne rzeczy.

Ile osób zrzeszacie?

- Na razie jest nas dziewiętnastoro.

Ile osób tworzy zarząd waszego Koła?

- Siedem ze mną na czele. Mój dobry znajomy Jan Skotnicki jest wiceprezesem. To osoba niezwykle energiczna, z którą konsultujemy wszystkie pomysły. Na innych członków zarządu, czyli Szczepana, Joannę, Patrycję, Kamilę oraz





PoWaGa



Fot. Mirosław Żak

Anię, też mogę zawsze liczyć. Wiem, że są to osoby, które chętnie mi pomogą oraz nigdy mi nie odmówią. Dzięki naszej współpracy istnieje strona stworzona przez Annę Kabatę (www.ksw.green-light.republika). Zapraszamy wszystkich, którzy chcieliby się dowiedzieć coś o naszym Kole. W galerii znajdują się zdjęcia

ze zrealizowanych przez nas wycieczek, a oprócz tego jest to dobra droga do nawiązania z nami współpracy.

Czy chcielibyście przyjmować jakiś nowych członków?

- Jesteśmy jak najbardziej otwarci na nowe osoby i... nowe pomysły, nie

zamykamy się we własnym gronie, staramy się popierać pomysły innych. Wiemy, że mamy dużo do powiedzenia, ale zawsze chętnie posłuchamy czegoś nowego.

Jak długo działacie i jak rozpoczęliście tworzenie Koła?

- Działamy już mniej więcej od ►

► roku, a samo Koło istnieje półtora roku. Na początku musieliśmy dopilnować wszystkich aktów formalnych, co zajęło trochę czasu.

Jakie są wasze pomysły na ochronę przyrody w najbliższej okolicy oraz w Krakowie?

- Obecnie staramy się wprowadzić na terenie Krakowa, a zwłaszcza na terenach Krakowskiej Akademii, dzwony do segregacji śmieci – rzecz może banalna, jednak już od pół roku staramy się skontaktować z firmą, która pomoże naszej szkole w segregacji śmieci, co z pewnością podwyższy standard uczelni oraz może pomóc w zdobyciu certyfikatu ISO 14001. Na terenie Krakowa organizujemy z kolei akcję krwiodawstwa „Kropla życia na Dzień Ziemi”, dzięki której zebrana krew trafi do osób potrzebujących. Jednocześnie liczymy, że będzie to rodzaj promocji działalności naszego koła oraz Polskiego Klubu Ekologicznego, w którym również nasi członkowie aktywnie działają.

Czy organizujecie jakieś wyjazdy w celach naukowych?

- W najbliższej przyszłości mamy zamiar udać się na targi „Horeco” w Poznaniu, dotyczące technologii stosowanych w ochronie środowiska. Można tam zobaczyć wiele technologii związanych z uzyskaniem alternatywnych źródeł energii, takich jak np. energia wiatrowa, czy też stosowanych już coraz częściej w naszym kraju baterii słonecznych, tzw. solarów, przetwarzających energię słoneczną w energię elektryczną.

Kiedy te targi będą miały miejsce?

- Targi odbędą się po Dniu Ziemi, czyli po 22 kwietnia lub na początku maja.

Co możesz mi powiedzieć na temat waszego udziału w projekcie „Młodzieżowi animatorzy zrównoważonego rozwoju „EKOLIDER MIASTA”?

- Do projektu zostaliśmy zaangażowani przez panią dr Dominikę Sułkowską oraz Polski Klub Ekologiczny, który realizował akcję „EKOLIDERA MIASTA”, finansowaną ze środków Funduszu Inicjatyw Obywatelskich. Członkowie koła „Greenlight” brali czynny udział w całym projekcie, którego celem

było dotarcie do jak największej grupy młodzieży licealnej z ideą tworzenia i działania w kole ekologicznym w szkole. W trakcie dwóch dni warsztatów dla „EKOLIDERÓW”, czyli nas, były prowadzone zajęcia dotyczące m.in. tego, jak zachęcić do wspólnego działania rówieśników, co nie jest oczywiście rzeczą prostą, oraz jak ich zaintrygować tematem ekologii, który wydaje się dość prosty, jednak w dalszym rozumieniu jest dość ciężki do wyjaśnienia i bardzo głęboki. Po takich warsztatach razem z moimi przyjaciółmi poszliśmy do wybranych liceów, gdzie prowadziliśmy zajęcia z młodzieżą. Warsztaty były prowadzone w formie multimedialnej – pokazaliśmy młodzieży, jak można założyć koło naukowe w szkole i co w nim robić, by podnieść swą wiedzę i przyczynić się do polepszenia ochrony środowiska na terenie szkoły, domu oraz miasta Krakowa.

Przechodzicie również liczne szkolenia. Co możesz powiedzieć na temat warsztatów, które przeszliście w Instytucie Przedsiębiorczości „Prymus” oraz Centrum Małej Przedsiębiorczości i Mikroprzedsiębiorczości przy MSKiP w Krakowie?

- Szkolenie to było przygotowane przez Jana Jongbloeda, eksperta z Holandii, reprezentującego firmę De Vier Essen B.V. i BVIT Holding oraz organizację pozarządową IntEnt. Jak wiemy, Holandia jest jednym z krajów wiodących w dziedzinie ochrony środowiska. Celem szkolenia było zachęcenie oraz ukazanie nam możliwości założenia własnej działalności gospodarczej związanej z ochroną środowiska. Szkolenie trwało mniej więcej 10 godzin, podczas których razem z ekspertami ds. przedsiębiorczości tworzyliśmy ideę własnych firmy, opracowując podczas jednego dnia cały biznesplan działalności. Warsztaty pokazały nam zarówno dobre, jak i złe strony naszych pomysłów. Nie było zbyt łatwo, ale z pewnością okazało się to dla nas dobrą szkołą przedsiębiorczości.

Czym jeszcze zajmuje się wasze Koło?

- Staramy się organizować wspólnie z Polskim Klubem Ekologicznym spotkania z ciekawymi osobami. Na razie udało nam się spotkać z dwoma profesorami: prof. Zbigniewem Dąbrowskim

i prof. Zbigniewem Witkowskim. Są oni dla nas mentorami, gdyż ich wiedza jest ogromna, takich ludzi słucha się z ciekawością. Dzięki ogromnej wiedzy są oni w stanie ukształtować nas w tym kierunku jeszcze bardziej, pokazać nam, jak działać w sposób czynny. Spotkania te trwały około 3 godzin, w czasie których profesorowie mówili również o własnych, życiowych doświadczeniach związanych z ochroną przyrody. Oprócz tego omawiali różne sprawy i pokazywali, jak przyczynić się do ochrony środowiska.

Co według ciebie należałoby zrobić w Polsce, żeby było bardziej ekologicznie?

- Na pewno należałoby się przyczynić do zwiększenia ilości procentu wykorzystywania w naszym kraju odnawialnych źródeł energii. Na razie wykorzystujemy odnawialne źródła energii na poziomie 4 proc., podczas gdy Unia Europejska narzuciła nam przepisy, wedle których 15 proc. energii ma pochodzić ze źródeł odnawialnych. Dlatego też uważam, że w tym celu powinniśmy się przyczynić do rozwoju technologii odnawialnych źródeł energii – energia wykonywana alternatywnie jest bowiem bardzo dobra. Jak wiemy, w naszym kraju mamy warunki do wprowadzenia MEW, czyli małych elektrowni wodnych. Jeśli chodzi o energię wiatrową, to Polska posiada jakieś małe elektrownie wiatrowe na pojezierzach i Pomorzu – siła wiatru jest tam dość duża, dzięki czemu takie elektrownie mogą tam funkcjonować. Odnawialne źródła energii to przyszłość naszej gospodarki.

O co chcielibyście prosić władze uczelni?

- Może o szybsze rozpatrzenie wniosku, jeśli chodzi o zorganizowanie naszego Koła, ponieważ wiemy, że pieniądze są bardzo potrzebne na tę działalność, a chcielibyśmy poprzez nasze działania promować również Krakowską Akademię. Prosiłobyśmy także o przydzielenie jednej sali na siedzibę naszego Koła. Nie będzie to dużym problemem, ponieważ nasze spotkania nie będą się odbywały codziennie. Dzięki własnej sali moglibyśmy zapraszać różne ciekawe osoby spoza naszej uczelni. Z pewnością zauważyłyby one, że na naszej uczelni studiuje ludźle, którzy poprzez swoją pracę chcą aktywnie działać. ■

Czy miał pan powołanie do polityki w rozumieniu weberowskim, czyli chciał pan zostać politykiem, który wyznając etykę odpowiedzialności, wyznawał zarazem etykę przekonań i mając świadomość poniesionych konsekwencji dla siebie, jak i zbiorowości, nie zaniechał etyki odpowiedzialności?

- Tak, uważam, że spełniam tę definicję w miarę dobrze.

A zgodnie z ową definicją nie powinien był pan zostać w PiS-ie?

- Nie. Uważam, że dobrze legitymizuję to, co robiłem...

Czy czasem nie wzięła górę etyka przekonań jak u Marka Jurka?

- Różnica między marszałkiem Jurkiem a mną jest taka, że on sam wyszedł z PiS, a ja zostałem wyrzucony, i dlatego ja jestem dla PiS wciąż politykiem znaczącym, a marszałek Jurek nie...

- Takim mnie, Panie Boże, stworzyłeś, takim mnie masz...

Z LUDWIKIEM DORNEM
ROZMAWIA GRZEGORZ MAKUCH (cz. 2)

Nie mógł się pan zatrzymać przed Rubikonem i zmieniać partię, będąc w niej?

- Wtedy byłbym dla PiS politykiem znaczącym w tej kategorii tyle, co pan Kurski czy pan Suski. A kategoria polityka z powołania zakłada jedno: utrzymanie pewnego minimum sprawstwa politycznego. Otóż ja to minimum zachowałem.

Małe résumé. Jak jest z trzema cechami klasycznego polityka według Webera. Zaczniemy od pierwszej: polityk powinien się oddawać sprawie, idei, cały, wręcz z namietnością. Jak to u pana wygląda? ►



► - Wydaje się, że ta namiętność występuje...

Ja myślę, że tu 10/10, bo ta namiętność w realizowaniu idei zawiodła pana aż za próg PiS. A jak z drugą cechą, odpowiedzialnością za to, co się robi? Tu już chyba gorzej...

- Nikt nie jest sędzią we własnej sprawie, ale nigdy nie uchylałem się od odpowiedzialności. Świadomie, odpowiedzialnie, zmieniłem w ciągu pół godziny decyzję, by składać dymisję wyłącznie ze stanowiska spraw wewnętrznych, a nie składać dymisji ze stanowiska wicepremiera, choć w pierwszym odruchu złożyłem dymisję z obu stanowisk. Po prostu uznałem, że rządowi to potwornie zaszkodzi, jak zostanę wepchnięty w buty opozycjonisty, i całkowicie świadomie jako premierowi panu Kaczyńskiemu wystawiłem dobrą cenzurkę.

Pisał pan to na blogu, że zrezygnował, bo nie mógł spełnić personalnych żądań Kaczyńskiego w sprawie CBS. Było to odpowiedzialne, ale w sprawie hamburgerów dla pani minister nie powiedział pan *mea culpa*, choć rzecz działa się w pana resorcie...

- Sytuacja była niesmaczna, mimo że rzecz polegała na przejściu przez funkcjonariuszkę 30 metrów, bo to była funkcjonariuszka w komisariacie dworcowym. Powiedziałem, że mój wiceminister zachował się nieroztropnie. Nic strasznego się jednak nie stało, ale wiadomo było, że jeśli to przecieknie do prasy, to będzie rozdmuchane. Aferę ochrzczono jako „aferę wieśmacową” i proszę zauważyć, że jest to jedyna afery, jaką po dziś dzień wykryto w ministerstwie za czasów mojego urzędowania.

A sytuacja, gdy policjanci odwozili dyrektora Serafina?

- Za to, że ktoś nadużył uprawnień, nie odpowiada ani wiceminister, ani minister. Pan dyrektor Serafin nie był w żaden sposób przeze mnie czy mojego zastępcę chroniony.

Ale to było w pana ministerstwie.

- A jeśli jakiś wicedyrektor zgwałcił niewiastę i też by się to działo w moim ministerstwie, to co? Trudno tu mówić w kategoriach moralnych czy politycznych o odpowiedzialności...



W krajach norweskich za tak błahą sprawę jak niepłacenie za odbiórnik radiowo-telewizyjny można zostać zdymisjonowanym...

- To lekka przesada. Bardzo dobrej minister pozbyła się Szwecja, bo zapłaciła ona kartą służbową, gdyż zapomniała prywatnej – a zwróciła pieniądze. Wybuchł jednak wielki skandal. Bardzo dobry minister stracił stanowisko, a następca był zdecydowanie gorszy. Gdybym ja lub mój zastępca chronił pana Serafina, gdyby rzecz dotyczyła kwestii systemu funkcjonowania, to można by mówić o odpowiedzialności moralnej czy politycznej...

Przyjmuję to wyjaśnienie.

- Konsekwencje wobec pana Serafina zostały wyciągnięte – i to bodajże nazajutrz po tym wszystkim. Prasa mnie atakowała, ale dlaczego nie uczyniła tego od razu? Była to niedziela i urząd nie działał. Tymczasem cała rzecz stała się z piątku na sobotę. Dziennikarze pytali: „A czemu ministerstwo nie reaguje?”. A jak ma reagować? Ja nie odwołałem ludzi z weekendu, żeby szurnąć pana Serafina w trakcie dni wolnych od pracy.

Ostatni z weberowskich wyznaczników to dystans wobec siebie i ludzi, bo politykę robi się gorącym sercem i chłodnym rozumem.

- O! Tego, zarówno jeśli idzie o siebie, jak i ludzi, dystansu mam w nadmiarze.

A nie jest tak, że mając go w nadmiarze, często pozwala pan sobie na autoironię i ironię wobec innych, czego wielu nie akceptuje?

- To się wiąże z tym, co mówiłem na początku: trzeba negocjować ze światem i ludźmi warunki własnego istnienia. Ja już jestem za stary, żeby się zmieniać. Takim mnie, Panie Boże, stworzyłeś, takim mnie, Panie Boże, masz... No i, moi bliźni, na dodatek macie takiego polityka. Albo się z tym pogodzicie, albo dacie mu kopniaka. Mówi się trudno.

Nie widzę na ścianie hasła, które zalecał pan wszystkim członkom PiS: „Effectiveness, sou fool!” [„Efektywność, głupcze!”]...

- ...za to widzi pan rysunek satyryczny Henryka Sawki.

A co jest napisane w obłoczku?

- „Od teraz, Saba, polujemy tylko na kaczkę” (śmiech)

Dobry żart!

- (śmiech)

Czy przyjmuje pan za swoje: „Tylko ten, kto jest pewien, że nie złamie się w sytuacji, gdy świat widziany jego oczyma okaże się zbyt głupi lub zbyt podły, by przyjąć to, co chce on światu ofiarować, i jest pewien, że wbrew wszystkiemu potrafi powiedzieć – mimo wszystko – tylko ktoś taki ma powołanie do polityki”?

- Oczywiście!

Do końca będzie pan walczył o PiS?

- Tak.

Rozmowę przeprowadzono 12 stycznia 2009 r. w Warszawie

Najbardziej dziwi fakt, że przy planowaniu przebudowy ronda Grzegórzeckiego nie pomyślano o tym, by ruch samochodowy odseparować od ruchu tramwajowo-autobusowego

„Spokojnie, już jadę – spóźniony”...

Komunikacja miejska powinna nam ułatwiać przemieszczanie się po mieście, gdy tego potrzebujemy w sposób szybki i sprawny. Niestety, rzeczywistość sprzeczna nas na ziemię, a „dzięki” krakowskiemu MPK zawsze możemy liczyć na to, że coś pójdzie nie tak...

Zarzut numer jeden w stosunku do krakowskiej komunikacji miejskiej dotyczy rozkładu jazdy, od którego zwykle zaczyna się nasza przygoda. To, w jaki sposób autobusy „trzymają się” rozkładu, dobrze wiemy. Nauczyliśmy się tego, czekając i wypatrując ich z niecierpliwością na przystankach. Oczywiście, pięć minut możemy poczekać na spóźniający się autobus, który przykładowy ugrzązł gdzieś w korku. Gorzej jest wtedy gdy, autobus w ogóle nie przyjedzie bądź też złośliwy kierowca zamknie nam drzwi tuż przed nosem. Takie sytuacje to, niestety, krakowski, komunikacyjny chleb powszedni.

Łatwo odnieść wrażenie, że rozkład jazdy MPK Kraków ułożony jest tak, aby doprowadzić pasażera do furii. Najlepszą ilustracją tego fenomenu jest pętla autobusowa przy Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, gdzie kończą bieg cztery linie autobusowe obsługiwane przez MPK Kraków. W ciągu dnia autobusy odjeżdżają z niej niemal równocześnie. W związku z tym, jeśli się spóźnimy, to na kolejne „stado” autobusów musimy poczekać przynajmniej kilkanaście minut. Czy aby na pewno przewoźnik oraz organizator komunikacji publicznej w mieście nie są w stanie dostosować rozkładu jazdy do potrzeb pasażerów?

Zarzut numer dwa dotyczy w mniejszym stopniu MPK, a w większym

władz miejskich. Chodzi o nowe – stare rondo Grzegórzeckie, które przyprawia mieszkańców Krakowa o mdłości. Patrząc na przebudowane skrzyżowanie, stwierdzamy, że owszem, jest wizualnie lepiej, lecz na tym zachwyty zazwyczaj się kończą. Pomimo modernizacji na drogach dojazdowych do ronda nadal tworzą się korki. Na domiar złego przejazd notorycznie blokują tramwaje wystające poza przystanki, których perony w teorii miały pomieścić dwa składy tramwajowe „na raz”.

Kierowcy i pasażerowie komunikacji miejskiej denerwują się, bo przejazd przez Grzegórzeckie trwa zdecydowanie dłużej niż powinien. Rekordziści potrafią przestać na nim grubo ponad pięć minut. Oczywiście, mowa o tramwajach i autobusach, które poruszają się wydzielonymi pasami, kierowcy prywatnych samochodów nierzadko na przejazd przez rondo czekają po kilkanaście minut w długich korkach.

Dodatkowym problemem są światła, które od czasu do czasu wyłączają się z tak zwanych „powodów technicznych”. Powoduje to niesamowity chaos. Kierowcy, zwłaszcza ci nie znający Krakowa gubią się, wymuszając pierwszeństwo, wjeżdżając pod prąd lub też na pasy zarezerwowane dla autobusów.

Piesi także mają prawo do niezadowolienia z przebudowy, a to za sprawą szybko zmieniających się na kolor czerwony światel. Przejście z jednej strony ronda na drugą wymaga więc sporo cierpliwości albo szybkości. Jak kto woli.

Podsumowując, najbardziej dziwi fakt, że przy planowaniu przebudowy ronda Grzegórzeckiego nie pomyślano o tym, by ruch samochodowy odsepa-

rować od ruchu tramwajowo-autobusowego, choćby poprzez budowę estakady lub przez umieszczenie torowisk tramwajowych w tunelu. A może pomyślano o tym, lecz wygrała tańsza i prostsza koncepcja, której realizację mamy wątpliwą przyjemność podziwiać na co dzień?

Zarzut numer trzy dotyczy komunikacji nocnej. Każdy z nas miał chyba chociaż raz przyjemność przejazdu liniami zaczynającymi się od liczby sześć lub dziewięć i wie, czym smakuje taka podróż.

Rozkład autobusów nocnych przedstawia się następująco: w tygodniu kursy mniej więcej co godzinę, a w weekendy i święta co pół godziny. Chociaż to też zależy od konkretnej linii. Ja osobiście mam ten „luksus”, że mój autobus w stronę Bronowic odjeżdża co pół godziny. Cudysłówno jest tu wskazany, gdyż ów „luksus” polega na niczym innym tylko na dopchaniu się na wybranych przystankach do środka kompletnie zatłoczonego pojazdu. W takiej sytuacji wejście na pokład „nocnego” wydawać by się mogło nie lada osiągnięciem, ale tu jeszcze trzeba wytrzymać podróż w anormalnym ścisku i uważać na zakrętach, aby przyciśniętym do szyby drzwi, najzwyczajniej w świecie nie wypaść.

Myślę, że żartobliwym, lecz dobrym pomysłem byłby specjalny pracownik wypychający na siłę ludzi do pojazdu niczym w Tokio. Pracownik taki naprawdę istnieje i podobno potrafi dopchać do wagonu metra do dwudziestu osób więcej niż teoretycznie powinno się w nim zmieścić. Może takie rozwiązanie zdałoby egzamin w Krakowie, a sam widok pracy takiego osobnika byłby z całą pewnością nie mniej zabawny niż obserwacja kilkuminutowej walki kierowcy autobusu o zamknięcie drzwi.

Powyższe problemy są naprawdę niepokojące i w dużym stopniu utrudniają codzienne życie setkom tysięcy pasażerów. Nie zmieniają tego kampanie reklamowe z hasłem promocyjnym „Spokojnie, już jadę” mające na celu zapewnienie podróżnych, że pieniądze z Unii Europejskiej zdobyte na różnorakie projekty były wykorzystane w sposób odpowiedni.

Osobiście proponowałabym inne hasło: „Spokojnie, już jadę – spóźniony”...

Aleksandra Sibistowicz

W Polsce ok. 35 000 osób żyje z HIV. ponad 50% z nich nie wie o swoim zakażeniu.

Czy masz pewność, że HIV Cię nie dotyczy?



Znajdź nas na Juwenaliach

otwórz oczy

Kochaj bez ryzyka



www.ryzyKOchania.pl

Organizatorzy:



Pomysłodawca:



Partnerzy medialni:



polki.pl

diastudenta.pl

www.fit.pl

